DZIENNIK
Mód Paryskich.

LWÓW 16 WRZEŚNIA 1841. Ner. 18. ROK DRUGI.

Wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca, do każdego numeru dołączone są dwie ryciny. Prenumerata wynosi we Lwowie półrocznie 5 złr. 15 kr., rocznie 10 złr.; bez rycin półrocznie 2 złr. 30 kr., rocznie 5 złr. Dla tych którzy pocztą ten dziennik odbierają dolicza się do powyższych cen za przesyłkę pocztową od jednego exemplarza półrocznie 48 kr., rocznie 1 złr. 36 kr. śrebr. Prenumerować można w kantorze Tomasza Kulczyckiego pod liczbą 301 w mieście, tudzież w krajowych i zagranicznych urzędach pocztowych.

MODY.

Stroje damskie. Co teżto za niestałość pogody! musimy zawołać wraz z francuskiemi dziennikarzami; ani daj boże przybrać w tych chwilach modzie kształt wyrazistszy, a pióro ścigające jej dzieje chwiać się musi jak igła magnesowa przetrącona na wschód i zachód. Wczora np. mimo upewnień stoletniego kalendarza lunęły nagle niebieskie katarakty, właśnie gdyśmy się zabierali do przedstawienia cudnych kąpielnych kostiumów i kazały raczej myśleć o arce Noego dla uchronienia się od powtórnego potopu.

Przy dzisiejszej pogodzie dotkniemy pokrótce osobliwości strojów wieczornych widzianych w teatrze francuskim. Byłato spodnica zielona, co najwięcej zwracała uwagę, z *poult de soie*, garnirowana ukośnie, a nad nią elegancki kaftanik z haftowanego muszlinu, z małemi rękawkami ozdobionemi korunką. Druga spodnica była z różowego baryszu ozdobiona czterma wolantami, z wierzchu kaftanik z wykładanym kołnierzem, z krótkiemi rękawami rozprutemi u ramion, które zdobił potrójny rząd korunek.

Właśnie w tych chwilach pozornej stagnacii zaopatrują sklepy w nowe materie któremi w krótce zabłyśnie świat modny. Jedną z takich jest materia zwana *minaret* której mnóstwo do pierwszych sklepów paryskich przybywa. Z ubiorów wiejskich zawsze są poszukiwane kitajki w paski, jakoteż *poult de soie* i grodenaple, z pomienionych kitajek najgustowniejsze są w kolorze bratków.

Moda ma chwile powrotu. Od dawna grzebień przestał być ubraniem głowy. Czas, ten wielki mistrz wszystkiego, powrócił im wziętość straconą. Ujrzysz go dziś w najpierwszych salonach na głowach pań, które się właśnie wytwornością gustu zalecają. Bywają gładkie lub z ozdobkami, niskie lub wykładane, stosownie do całkowitego ubrania.

Rycina dzisiejsza przedstawia: szlafroczek jedwabny szmuklerską robotą, guzikami garnirowany, kapelusz słomkowy. Druga dama przedstawia suknię fularową z małootwartym stanikiem, w dole ukośnie garnirowaną i sznurkami obszytą, kapelusz jedwabny z korunkami i wstążką. Dziecko ma suknię białą, muszlinową ze stanikiem marszczonym i kapotkę z piórami. Suknia z mory mieniącej korunkami garnirowana, berta równie z korunek. Kapelusz jedwabny z kwiatami i rańtuch gazowy.

Stroje męskie. Z wszystkiego co ma cechę nowości, wyszczególnia się frak do spaceru o dwoch rzędach guzików, który na dzisiejszej rycinie przedstawiony: rękawy krótkie i dość obcisłe, kołnierz wycięty w formie M.

Druga rycina przedstawia paletot do rannego ubrania z tyłu w deseń, spodnie fałdowane, w kraty. Kamizelkę z klapami na dwa rzędy guzików.

WYCIECZKA DO BERCHTESGADEN.

PRZEZ

WALENTEGO CHŁĘDOWSKIEGO.

Ciąg dalszy.

Szum potoka coraz mocniejszy, i naraz widzisz pełną grozy kotlinę, w którą śrebrnemi wstęgami z wysokości skał nagich spada podwójnym, oddzielnym rzutem strumień alpejski. Ktoż niezna właściwego wrażenia miejsc takich! Głęboko uczuł je ten, który w wydrążeniu skały, na tablicy kamiennej położył tu napis: *Ewiger! dich spricht das Gestein, dich das Brausen des Gewässers, wann wird meine Seele dich schauen?* Ta dzikość kotliny, ten szum wodospadów, to odosobnienie od świata, nawodzi na umysł smętne marzenia i niewymowną tęskność. Mimowolnie usiędziesz w zadumie i snujesz dalej myśl potrąconą Matisona słowami: jest, jest nad tobą, niezogarniona twoim duchem, niepojęta w zamiarach swoich, nieograniczona w wszechmocy istota, która cię z gotowego grobu wyprowadziła do życia, która rozerwała czarne chmury nad twoją głową wiszące i wypogodziła ci niebo, która w nacisku srogich losów, w przyjacielu — o mój drogi, Stanisławie! — zesłała ci anioła, podzielającego twoję dolę i twoje cierpienia; jest, jest nad tobą bóg: tu go widzisz, tu go czujesz, i zda ci się, żeś pojął tajemnicę życia, żeś tu ją odgadł tę wielką istnienia zagadkę.

Ledwiem się oderwał od tego miejsca, tak uroczego w samotności swojej. Łódka ukośnym kierunkiem pruła teraz szerokość jeziora, a ś. Bartłomiej i zamek i wybrzeża, na których leżą, coraz jaśniej swoje rozwijały kształty. Te śnieżne łączki które z wysepki Wallnera, oprawione w ramy groźnego jaru, tak wdzięcznie w połysku słońca jaśniały, sąto zaspy po urwiskach i kniejach nawalone, wypełniające skaliste żebra Watzmana. Na nich chłodzą się jelenie i sarny, taczając się po śniegu, ani je wystrzał nie spłoszy, choć je dobrym dosięgnąłbyś sztućcem; chłód jodeł, pokrywających podnóże tej alpy, za mało dla nich, śnieg im jeszcze za mało, grzebią się w nim, przewracają jak konie. Ależbo spieka! słońce, już blisko południa, prostopadłym pali promieniem, ani wody jeziora, ani wietrzyk pokrzepiającego nieużyczy chłodu; już i Gertruda zamilkła, ociera znój i chwilami spoczywa; tylko jej małżonek, w wiecznem milczeniu o nic się nietroszcząc, uderza wiosłem w nieodmiennym takcie i porusza niestrudzone jak machina ramiona, i oto wreszcie tak zwany zamek, kościoł i dom myśliwski, położone na dolinie, zwolna od stóp Watzmana ku jezioru zbiegającej. Ale jak niejedna dziewczyna tylko zdala piękna, a niejeden mąż tylko zdala wielkim się wydaje; tak i ten zamek i kościoł tylko zdala piękne i wielkie się widzą.

Niezatrzymywałem ich długo na tym powabnym półwyspie. Zamówiwszy zwykły tego jeziora obiad i zaspokoiwszy moje i moich ztrudzonych małżonków pragnienie, ruszyłem dalej, aby zakończyć tę czarowną żeglugę zwiedzeniem wyższego jeziora (*Obersee*). Na dnie płytszej u brzegów wody, najrozmaitszych widziadeł obraz w chyżym pędzie łódki dziwnie mamiły oko. Mech, konary, skały, drzewa i kory, to jak podwodne poczwary, to jak węże, raz rozciągni ne, raz skręcone w kłeby, a pośród nich pstrągi i łososie; wszystko w najdziwaczniejszych kształtach i barwach zdawało się pełne życia i ruchu. Mijamy stromy *Hachelberg* i słychać szum wodospadu, i widać już, jak białym pryskiem bije o jezioro. Pokrzepieni majtkowie nieżałują rąk, ochoczo robią wiosłami, i pyszny wodospad potoku *Schrainbach*, jednym rzutem z paszczy czerwonych skał buchając, zachwyca niespodzianie oko. Ten wodospad zdaje się być najobfitszy z tych, które niosą zasiłek jezioru; a lubo jego wysokość nie jest tak znaczna, jak owa królewskiego potoku, widowisko jednak, gdy ciasnem, skalistem jego gardłem drzewo spławiają, niemniej musi być interesujące.

Nowym ku wschodowi zwrotem, olbrzymich gór pionowe ściany rozsuwają ci się zwolna, a ich szczyty skaliste to wschodzą, to zachodzą jak gwiazdy; wreszcie rozwarła się cała zatoka, w której ma leżyć jezioro. Ani go widzisz, ani przypuścić możesz, żeby tam leżało. Łódka wciska się pomiędzy inne łódki pod nędzną szopkę, przybija do brzegu, którym się kończy królewskie jezioro, i przyjmuje cię dzika, romantyczna dolina, może najpiękniejsza na jego wybrzeżach Jestto dolina Salat. Na murawie, u stóp alpy, stoi samotna chatka, na około niej pasą się dwie krówki i podzwaniają dużemi dzwonami, wyżej między skałami i karłowatą drzewiną spędza trzy

kozy pasterka, przeciągłym, dziwnie łamanym głosem zdaje się nas witać, a ten głos, z którego niezbyt zaletne alpejskiego śpiewu miałbyś wyobrażenie, podrzyźniają góry; w dwie zatoki pną się w niebo dwa skaliste szczyty, zwane diablemi rogami.

Uwaga moja ciągle była zajęta tem wyższem jeziorem, którego nigdzie oko niedostrzegało. Cała ta ogromna kotlina, obstawiona masami skał, jakby zwaliskami świata, stała już przedemną. Ani pojąć możesz, gdzieby tu miało być jezioro, do którego obejścia godziny czasu potrzeba. Osobliwsza złuda perspektywy! Już ściany tego krateru tak blizkiemi ci się wydają, nigdzie niepostrzegasz wzgórza, któreby zasłaniało widok. Im bliżej jesteś, tym mocniej utwierdzasz się w mniemaniu tego niepodobieństwa, w brew wszelkim zapewnieniom Gertrudy. Jestto prawdziwie osobliwe, cudowne rzekłbyś widowisko. Tyle gór, tyle skał i jezior podziwiałem w Szwajcarii i Włoszech, tyle w wycieczce do Gastein, tyle później po wyższej Austrii, ale coś podobnego niezdarzyło mi się widzieć. To omamienie ginie nareszcie, gdy już połowę doliny przeszedłeś; tu dopiero postrzegasz że wszystkie doliny zasłaniało jezioro. Ale ta nieznaczna wypukłość, pośród tych niebotycznych, pionowych skał dokoła, ginie zupełnie i zdaje się bezpośrednio ztykać z olbrzymiemi ścianami kotliny; oko zewsząd wzniosłym widokiem chwytane, nie jest w stanie wyjść z tego mamidła. Kwadrans czasu zajmie ci droga doliną, pośród łomów skał i drzew tuowdzie z tych zwalisk wyrosłych, powoli wreszcie wykrywa się zwierciadło tego tajemniczego jeziora, oprawne w ramy wapiennych brzegów, jak gdyby je opasał wieniec z białych kwiatów witv. *Thalbrand, Regenbergl, Fischunkel* z diablemi u szczytu rogami, obwarowały jego podłużne koło wieczystym murem i oddzieliły od świata. U brzegu, który bujny szuwar półwiankiem otoczył, stoi pień zgrzybiałego jaworu; czas odarł z niego szaty ozdobne; bez konarów, bez liścia, bez kory stoi, jak gdyby przychodniowi chciał opowiadać dzieje tej doliny. Do niego przyczepiona łykiem kołysze się rozchwiana tratewka, na której dawno już podobno ludzka niepostała noga.

Usiadłem ztrudzony pochodem na ułomie skały, przeglądając dekoracie tego teatru natury, twórczą jej ręką malowane. Jakiegoż pęzla potrzeba, aby tych wzorów dosięgnął! W prost, w zatylku jeziora, po czerwonej, marmurowej skale, spadał potoczek (*Röthsbach*) z równej może wysokości, jak potok królewski; widzisz tylko, że się rusza, że wisi, że srebrnym deszczem bije po wychyłkach, ale nie niesłyszysz, zda ci się, że to nowa złuda, bo w twojej wyobraźni niema wodospadu bez szumu, skoro jego rzut, jego załomy tak dobrze okiem rozróżniasz. Prawdziwe teatralne widowisko; daremnie natężasz ucho, to niemy wodospad. Ale nowy dziw, to pasmo śrebrnego puchu, zaledwie ziemi doleci, gdzieś ci ginie, przepada; chłonie go pieczara murawą zasłaną, a strumień po dłuższej dopiero podziemnej przeprawie łączy się z wodami jeziora. Gdy się wpatrujesz w wodospad i w murawę stopy Fiszunkel obwodzącą, i gdy od siebie ku tym miejscom mierzysz przestrzeń jeziora, zdaje ci się, żebyś je kilkoma rzutami przepłynął: znowu się łudzisz, bo długość jeziora 400 sążni wynosi. Tak wszystkie te mamidła są dziełem odległości, która pośród tych ścian w obłoki sięgających, dziesięciokrotnie mniejszą się wydaje, niżli jest w istocie. Te masy skał wapiennych unoszą na grzbietach swoich różnobarwe lubo już dobrze przerzedzone lasy; w bratniej zgodzie rośnie tu na nich jawor, buk, jasion i jodła: to chrust mniemasz, to chocina wieńczy skaliste czoła olbrzymów. Ale z tego stroju odziera je człowiek z niebezpieczeństwem życia. Nieraz, kiedy spuszczane w jezioro kloce zatrzymają się o krzak lub skałę, drwale, usiłując je zepchnąć, sami w przepastną kotlinę wpadają.

Obersee było widocznie częścią jeziora ś. Bartłomieja. Ta dolina wypukła, która teraz przedział stanowi, utworzoną została runieniem góry prawego boku; lubo nie jeden już wiek od tego wydarzenia upłynał, ślady tego niedają się zapoznać. I ta ściana, z której odłam wysypał te silną przegrodę, i ta dolina sama, bryłami skał założona, a nadewszystko ten kanał, którym wyższe jezioro oddaje zbyteczne wody swoje królewskiemu jezioru, mówią wyraźnie o dziejach przeszłości.

Słońce doskwiera, godzina pierwsza, już i przepowiednia dziewczyny w gospodzie, że powietrze jeziora trawi, poczyna się sprawdzać, czas pospieszyć na zamkową ucztę. Wsiadając w łódkę spojrzałem na samotną lepiankę, na te dwie krowy i trzy kozy,

które właśnie chłopczyna z kobietą, zapewne dla podoju, do stajni zapędzał. Rzewność mnie chwyciła. Biedny, samotny człowieku! jakże są skromne potrzeby twoje, jakże na małem przestajesz? a tyś może wesoł, może szczęśliwy?... Tu niechaj przyjdzie, kto chce pisać filozoficzne traktaty, i dumać nad szczęściem człowieka. Tu znajdzie najwłaściwsze miejsce. Ta chatka rybacka a królewska budowa (*Königsban*) w Mnichowie, cóż za sprzeczność, co za różnica rzeczy, ludzi i wyobrażeń? Rzeczy? ludzi?... nie tyle: ale wyobrażeń!! W nich teżto jest, i od nich po największej części zależy to, co zowiemy szczęściem. Czego umysł nieznana, za tem i niepragnie, jeżeli więc granice osobistej umysłowości są granicami życzeń, i jeżeli nie tyle istota rzeczy, jak raczej wyobrażenie o nich, a zatem właściwość pojęć, stanowi o szczęściu: jakże łatwiej dopełni warunków osobistego szczęścia ten człowiek, który marzy o szczęściu w ciasnym obrębie ducha swojego! Prawda; wyższa sfera pojęć, ukształcenie odpowiednie temu szczeblowi, na jakim obecnie stoi człowieczeństwo, usposabia do wyższego, do szlachetniejszego użycia sił własnych i darów natury, ale im wyższe usposobienie, tym trudniejsze warunki; a cóż okropniejszego dla umysłu, jak niesforność jednych z drugiemi, co smutniejszego, jak brak środków ku dopełnieniu onych? I któż zaręczy, że ten rybak w tej chatce, z żoną i z dziatkami, przy mleku i rybach, nie jest w obrębie swoich życzeń szczęśliwszy, niżeli król Ludwik w swoim pysznym pałacu, lub Filip na pierwszym tronie świata?... I raz jeszcze, ale z mniejszą żałością, rzuciłem błogosławiącem okiem na chatę rybacką. Kiedy burza po jeziorze wyje, i zpiętrzonemi falami bije o jego brzegi, miejsce to tak jest odosobnione od świata, jak wyspa śród oceanu. Niema, niema tak smutnego miejsca, niema tak nędznej chaty, gdzieby człowiek nieznalazł spokoju i bezpiecznego schronienia, gdzieby szczęśliwym być niemógł!

Na półwyspie ś. Bartłomieja zastałem towarzystwo. U stolików, pod drzewami naprzeciw myśliwskiego domu, siedziało trzech mężczyzn, zajętych pilnie ową szlachetną czynnością, do której i ja zabierać się miałem. Dwoch siedziało naprzeciw siebie przy jednym stoliku, Bawarczyk i Wirtemberczyk, jakem się poźniej dowiedział, uczniowie Apollina, młode, przystojne chłopaki; wesołą toczyli rozmowę, w uniesieniach nad temi pięknościami natury, dla których dwa tygodnie już tu strawili, i jeszcze dwa strawić zamyślają. U drugiego stolika siedział Prusak, cały czarny, wygłodzony, z owem fatalnem obliczem, którego widok mimowolnie i jakby magnetycznie pięść rozłożoną do osobliwego ruchu ku sobie pociąga. I on rozmawia onym pociągłym akcentem, który Prusaka tak nieznośnie od wszystkich Niemców odróżnia, rozmawia z swoim lonlokajem, który jak Mefistofeles za nim stoi i w kułak się śmieje. Wywiózł go ogromną łodzią, na której trzydzieści osób wygodnie mieścićby się mogło, i sześć potężnych dziewek przydał mu za majtków. Prusak się dziwi dla czego to jezioro czarniejsze od tych wszystkich, które on widział, dziwi się i domyśla, że to od czarnej ziemi pochodzi. Malarze śmieją się z boku, spiewają, i do spiewu mieszają szklanicę po szklanicy piwa, które im zapewne kochaną, piwną przypomina ojczyznę.

Nakryto i dla mnie stoliczek, i zastawiono s z m o r n i pstrągi. Niebyłto ów szmorn, który wiedeńki tak smacznie sporządzać umieją; ale byłato gęsto z mąką zasmażona śmietana, polubownie i niezbyt ponętnie poszarpana w kawałki. Na zapytanie czyliby co innego dostać niemożna, odpowiedział mi stary, dychawiczny myśliwiec, który na ławeczce u drzwi spokojnie roskoszował w fajeczce, i naszym obliczom się przypatrywał: że odkąd on tylko zapamięta, podróżni, którzy ze sobą nic nieprzywożą, nic innego nie jedzą, tylko *Ramkoch* i ryby, z tą jednak różnicą, że dawniej, za xiężych rządów, wolno było jeść ryby jedynie za cedułą, i tyle tylko, ile na niej wypisano było, a teraz tyle, ile się podoba. Niechże kto powie, że Bawaria za króla Ludwika w liberalnych zasadach niezrobiła postępu! Dowiedziałem się tedy dwoch rzeczy, i liberalności rządów bawarskich, i tego, że owa zasmażka nie jestto wcale szmorn, ale *Ramkoch,* narodowa berchtesgadeńska potrawa. Pstrągi były duże i wyborne. *c. d. n.*

Konkury na wsi.

Smutny był dzień jesienny, a całe niebo dżdżystemi chmury okryte; rozgrzęzłe błoto czyniło drogę prawie nie do przebycia, gdy

przez wieś schludnie zabudowaną pana Sitowskiego wlókł się ogromny powóz na wysokich kołach; cztery rosłe konie, wychudłe wiekiem i złem hodowaniem opierały się ledwie mogąc uciągnąć ten ciężar. W powozie siedziało dwoch mężczyzn: jeden około siedmdziesiąt lat mający, zdawał się czerstwy, ale do wygód i miękkiego życia przywykły; drugi ledwo wyszły z lat młodzieńczych, postacią starszy nad lata, wychudły, blady, na cienkich nogach, rysy tylko odznaczające, uśmiech przyjemny i niekiedy przemijający blask oka świadczyły o znacznej acz przewiędłej młodzieńczej piękności; układ miły, łatwe wysłowienie osobliwie w francuskiej mowie dawały poznać człowieka *comme il faut*, dobrze urodzonego i światowego. Pierwszy byłto hrabia M* drugi bliski krewny jego hrabia Wacław tegoż samego nazwiska. Wacław wczesną śmiercią rodziców już w 18 roku życia zostawion samemu sobie, z ognistym temperamentem, żywemi namiętnościami i znacznym majątkiem puścił się w świat. Kilkoletnie przejażdżki po Europie, nierząd w domu, zły dobór ludzi, w których ślepa ufność z początku, zbyteczne zrażenie w końcu szarpnęły tak majątek jego, iż wkrótce resztkami pędząc szumne w stolicy życie, karty, lichwy i t. d. wyzuły go do reszty, a nie mając prawie sposobu do życia, osiadł w domu hrabiego. Rad nie rad, lubo często znudzony pedanterią, próżnością i dumą kochanego kuzyna, znosił cierpliwie nie jedną z tej strony przykrość, nie jedno nawet upokorzenie. W duszy jego zostały jeszcze szczątki dobroci: było serce nie złe, była bystrość pojęcia, było uczucie żywe, ale nie było rozumu do kierowania niem; fałszywa duma wyrownania drugim i teraz go nie opuszczała, niechęć do ludzi wzmagała się codziennie przeciwnościami, sława zepsuta pomimo pozostałych uczuć honoru, krzyżowały i psuły ten charakter, który inaczej skierowany, może byłby jeden z najświetniejszych.

Hrabia M* byłto jeden ze znacznych panów polskich, dumny z rodu i majątku, nie chciał, nie umiał, a nawet wstydził się nim zarządzać. Praca, gospodarność zdawały mu się być niższych udziałem, wielcy powinni spokojnie używać. Było tak niegdyś ale nie dzisiaj! majątki zdrobniały pomnożeniem ludności, oświata wymagająca większych opłat i wydatków dała sposoby pomnożenia intrat, ale nie trza żałować pracy i mozołu. Hrabia nie chciał nic wiedzieć o tem, przemijającego czasu fale obijały się o niego jak o skałę, uparty w zastarzałych zdaniach wszystko chciał nagjąć do siebie: a jako pałac jego nieruchomy patrzał na przemijające wieki, tak on z okien pałacu dumnie spoglądał nie dostrzegając, że okoliczne wioski do poprzedników jego należące, dzisiaj częścią koniecznością, częścią nierządem przeszły w obce ręce. Mnóstwo sług i mieszkańców uwijało się po obszernych kurytarzach, nieustanne bywały zjazdy osób, jak mówił, dobranych, życie wykwintne i szumne, jak na pana przystoi; ale interesa majątkowe coraz się w gorszym znajdowały stanie; nie dziw więc, że pobyt ciągły Wacława i utrzymanie go na przyzwoitej krewnemu pana stopie, stawał się hrabiemu nieco uciążliwy, a częste wybryki, co gorsza zażyłość z ludźmi wszelkiego stanu kompromitowały dom hrabiego. Szczęściem, że urodzenie, wykwintne wychowanie i protekcia kuzyna ani na chwilę nie dały wątpić, iż za pierwszem skinieniem, każden, choćby najmajętniejszy ślachcic nie odmówi Wacławowi swej córki, a skoro doszło już do tego stopnia, nie trzeba zresztą zważać na należyte względy, i pominąwszy urodzenie szukać majątku; dać mu do zrozumienia, iż się uprzykrzył w domu, nie wypadało; cichaczem, nawiasem, wywieść panicza w jedno, w drugie miejsce, a może jaka ślachcianka wpadnie mu w oko; więcej też nie trzeba.

Pan Sitowski byłto prawdziwy ślachcic polski, ale ślachcic poprawnej tegoczesnej rasy, u niego obok cnót dawnych znalazłeś wiele nowych od ducha czasu wymaganych. Gospodarz wyborny, człowiek rzetelny, pan dla poddanych sprawiedliwy. Było zajechać w dom jego, przyjął cię sercem otwartem, uraczył wyśmienitem jadłem i napojem, bez zbytku, bez przechwały, było wszystkiego dostatkiem, a wszystko w dobrym guście. Natrętną gościnnością nie gwałcił nikogo, nie klękał przed wyjeżdżającym gościem, kół nie zdejmował z powozu, a każden rad się u niego zatrzymał, bo i pomówić z nim miło i nauczyć się wiele z jego doświadczenia, i panienki dwie hoże, córki gospodarza, i gospodyni uprzejma, miła, słowem wszystko w domu tym więziło.

Hrabia nie żył z panem Sitowskim, bo

ojciec jego był kiedyś ekonomem, a nawet, mówią, lokajem; ledwo raz wlat kilka odwiedził swego, jak zwał go, sąsiada, sąsiad też nie nasuwał się i przestawał na zimnej etykiecie: dzisiaj w tę słotę, w tę porę, po tem rozgrzęzłem błocie wlecze się jak mówiliśmy poczwórny pojazd. szkapy pienią się i sapią, woźnica ugalowany wali biczem, bo woli to, niż sypać obrokiem; brama dziedzińca p. Sitowskiego otwiera się i hrabia wraz z Wacławem zajeżdżają przed ganek. Pani Sitowska ztruchlała, spostrzegłszy hrabiego; panienki skoczyły do toalety; jegomość zaś niezmieszany, ani okazując zdziwienia, wyszedł do sieni, powitał uprzejmie hrabiego i prosił najprzód do pokoju.

— Ach cóż za droga, kochany sąsiedzie! przyznam ci się, że ledwośmy dojechali z moim kuzynem, którego ci prezentuję, jestto p Wacław, widywałeś go zapewne w dzieciństwie. Sitowski podał rękę Wacławowi, przedstawił go żonie i córkom weszłym do pokoju, sam, zaprosiwszy gości siedzieć, usiadł z boku i rospoczął rozmowę. Rzecz toczyła się jak zwykle o polityce, o gazetach. P. Sitowski, lubo nie uczony, dawał trafne zdania i odpowiedzi na wszystko; hrabia zaś uśmiechał się zdziwiony, iż syn byłego ekonoma może sądzić o czemś więcej jak o hreczce.

Wacław zagadywał do panienek, rozmawiano o deszczu i pogodzie, o sąsiedztwach i zabawach, aż wreszcie przysunąwszy się do fortepianu, zaczęto mówić o muzyce. Z dziwną trafnością i pełnością pomysłów mówiła starsza, Aniela, o teraźniejszych i dawniejszych kompozycyach. Znajomość rzeczy, czucie przedmiotu odbijało się w każdem słowie, gdy zaś proszona od Wacława bez żadnej cermonii usiadłszy, białą, pulchną rączką przebiegła po instrumencie i harmonijne, wdzięczne tony jęła splatać, za własną idąc wyobraźnią, Wacław zdumiał; znając bowiem p. Sitowskiego z powieści, nie spodziewał się nigdy słyszeć co słyszy, widzić co widzi. Hrabia przestał rozmawiać z gospodarzem i natężonym słuchem uważał grę Anieli.

— Ale mój panie Walenty, (tak było imię Sitowskiemu) *nec plus ultra!* lubo nie jestem znawcą, mogę cię zapewnić, iż córka twoja wcale ma talent nie pospolity, radzę ci nie zaniedbuj tego. Sitowski pomyślawszy, ile bez rady hrabiego łożył kosztu i starania na wykształcenie talentu córki, uśmiechnął się, że ten dopiero teraz myśli, iż otworzył ślachcicowi oczy; gdy zaś hrabia dodał: tak, bo to często największe talenta zostaną zagrzebane, gdy się nie umie użyć przyzwoitych środków, Sitowskiemu brakło cierpliwości, już miał palnąć odpowiedź od ucha, ale przygryzł wargi. Dano herbatę, już się spóźniło, hrabia z Wacławem zabierali się do odjazdu. No, bywaj mi zdrów kochany sąsiedzie! spodziewam się, odwiedzisz mię kiedy; co do mnie, jestem już troche za stary na te wasze drogi, mój kuzyn zapewne odwiedzi cię. Sitowski ukłonił się, Wacław pożegnał grzecznie.

Wieczór, w rodzinnym gronie rozmawiano o gościach: panienki to chwaliły Wacława, to wyśmiewały, jak to zwykle bywa; nikomu jednak nie wpadł na myśl cel tych odwiedzin.

Kilka upłynęło miesięcy, Wacław częstym i coraz częstszym stawał się gościem w domu Sitowskiego. Z pannami tańcował, spiewał; z Sitowskim jezdził konno, prawił rozliczne duby o podróżach swoich; zgoła, pomimo że Sitowski doskonale umiał ocenić panicza, doskonale znał wady jego i nigdy nie chciałby go mieć swoim zięciem; upojony wesołością i dowcipem, odurzony wielomowstwem i układnością Wacława, do tego lubiąc obcować z młodzieżą, bo sam czerstwy i zdrowy, powoli tak się wciągnął, iż nic nie wiedział, co się święci, nie tylko grzecznie przyjmował Wacława, lecz zapraszał go nawet i był mu rad prawdziwie. Wacław też, nie bity w ciemię, poznał swą rolę, i umiał ją odgrywać: przy rodzicach z panienkami zdaleka, w kąciku troche poufalej, resztę zostawując czasowi i stosowniejszej chwili, lubo hrabia często radził, aby nie zważając na nic, wprost się oświadczył, a skutek musi być nie ochybny. Dla mnie, mówił, dla mnie, jeżeli nie dla ciebie uczyni to Sitowski, nie śmiałby się wymówić, z resztą te panny, jak widzę, nie źle wychowane, czegoż się doczekają? Za ślachcica pójść się nie zechce; pan majętny nie weźmie, bo ten znajdzie wszędzie posag wraz z urodzeniem; ubliżasz waćpan mnie i sobie tem powątpiewaniem. Wacław zaś, znając bliżej stosunki, wiedział, że z panienek ani starsza, ani młodsza (co mu było zupełnie obojętne) nie mają wyobrażenia o miłości, zamęzciu, chęci podobania się i t. d., myślał sobie czasem, że to są gąski, ale długi przypierały, honor był interesowany, do tego nudno nie

mieć nic swojego. rad zatem czy nie rad, nie odstępował przedsięwzięcia i po raz pierwszy może w życiu przez kilka miesięcy do jednego dążył celu.

Pewnego dnia, w niedziele po południu, zajechał do p. Sitowskiego sąsiad poczciwy i przyjaciel dawny pan Wojciech. Po zwykłem przywitaniu, nie czekając długo, z gorliwością prawdziwego przyjaciela bierze na bok gospodarza i tak mu prawi: Już od niejakiego czasu dochodzą mię wieści, iż w domu twoim kochany sąsiedzie zanosi się na wesele; z początku nie wierzyłem, bo myślałem, że sam najpierwej wiedziałbym o tem; gdy jednak często widzę tu tego sowizdrzała Wacława, jak się uwija koło twych panienek, muszę cię na to uczynić uważnym. Człeku co robisz? zastanów się! Bawisz się z nim, słuchasz jego paplaniny, zapraszasz go do domu twego, a zapomniałeś, że ojciec młodych, nie doświadczonych dziewcząt, którym każden, byle chciał, podobać się może, z największym powinien postępować taktem, by się nie narazić na ludzkie języki i nie kupić biedy, której potem niczem nie wywabić. Czy wiesz ty, że ten Wacław jest hołysz, hulaka, karciarz, który chce tylko twojego posagu, by dzieci twoje nieszczęścia nabawić? Czy wiesz, że dłużnicy siedzą nad nim, jak kruki nad zmarzniętem ścierwem, którego ugryźć nie mogą? Zastanów się, wymów dom temu świszczypałce dopóki czas jeszcze.

Sitowski, jakby ze snu ocknięty, jął ściskać przyjaciela: Teraz dopiero otworzyłeś mi oczy; więc to ten jegomość pewno ma zamiar posunąć o rękę mej córki, ale której u licha? nie dał poznać tego nigdy.

— Wszak córki twoje, kochany Walenty, równy będą miały posag, a więc wszystko mu jedno.

— Może być, o nieszczęśliwyż ja człowiek! co tu robić? wypędzić z domu, za co? przecież dom mój każdemu otwarty. Dla dobra dziecka wszystko warto poświęcić; ale jednak, żebyto można inaczej, nie tak wprost: ruszaj waść do licha! gdyby się choć oświadczył, byłby powód.

Pan Wojciech pomyślił chwilę. Wiesz co mi przyszło do głowy? Ten Wacław ma długów mnóstwo, między innemi winien jest pareset dukatów tak zwanego honorowego długu za karty, w tych dniach termin wypłaty pod słowem honoru, zniskąd zebrać tej sumy nie może, hrabia nie da, bo nawet mówićby mu nie śmiał; jedź jutro niby z niechcenia do tego szulera Wydrzyckiego, tam zastaniesz go w największym ambarasie, ofiaruj mu pomoc, pożycz tę sumę na czas niedługi, a ręczę ci, jeszcze jest tyle w nim dumy, że więcej nie pokaże ci się na oczy, i tak najspokojniej zbędziesz się natręta.

— Dobrzeby to było, ale nuż odda?

— O tego się nie obawiaj, wierzyciele jego już dawno podobną stracili obawę!

Nazajutrz ku wieczorowi p. Sitowski rusza do Wydrzyckiego: byłto dzierzawca małej wioski, nie czyniący krzywdy swemu imieniowi; co mógł wydrzeć komu, to pewno wydarł; brudny sknyra, sąsiad nieużyty, zamknięty sam w sobie, jedną miał tylko namiętność: karty. Nie grał on drogo, ale ciągle, przegrywał nawet, ale nigdy wiele, byłto bowiem jeden z tych szczęśliwych łapigroszów, do których pieniądz toczy się całą swą okrągłością, żeby wypocząć po długim obiegu w zapleśniałej szkatule. Sitowski zajechał przed niski, gliną polepiony domek, na którym reszkti wapna, z dawnego bardzo potynkowania, jak łachmany wisiały, dwa psy wychudłe stały na uwięzi, kilka par gołębi gruchało po ganku i dodawało nieporządku do mnóstwa brudu, śmiecia i błota w sieni i dziedzińcu. W pierwszej izbie brudne, pyłem okryte meble, na komodzie kilka par filiżanek z złotemi brzegami, staroświecki zegar stołowy, w kącie kilka sakłakowych cybuchów z zażółconemi piórkami, pałasz zardzewiały i strzelba ze skałkami, w całym zaś tym domu jakaś ciemność wilgotna, zdało się wszedłszy, że to jest mieszkanie samych nudów i sknyrstwa, czem było w istocie; porozrucane tu i owdzie papiery, to łacińskie pozwy, to rezolucie sądowe, to rejestra, w których tylko rubryka przychodu zapisana, świadczyły o zwykłych zatrudnieniach Wydrzyckiego. Przy zielonym stoliku siedziało dwoch ludzi w szlafrokach, jakby prosto z łóżka, i grali w *ecarté*.

— A cóż u licha, znowu znaczysz króla? co za osobliwe szczęście i niemało mieć pieniędzy, kiedy same do niego idą, i to zewsząd?

— Ja mam pieniądze? skąd mizerny posesor miałby mieć pieniądze? Dalibóg niemam, tylko złe języki tak o mnie mówią. Choćby był grosz jaki, to gdzie go tam teraz utrzymać, procesa dużo kosztują.

— Cóż teraz masz za proces?

— A czyż nie wiesz, co mi ta baba, moja dziedziczka, zrobiła? Oto miała wystawić mi owczarnię, tymczasem mąż jej umierał, pojechała z nim do wód, gdzie go szczęśliwie pochowała. Owce trzymałem w stajni i wyzdechały, może być że na zarazę, ale mnie nic do tego, ja mówię że dla braku owczarni. Pozwałem ją o 15000 złr.; zapłacić musi, a nato podobno i cały folwark nie wystarczy. Ba, gdyby nieboszczyk żył, niebyłoby nic z tego, ale kobieta sama, źle byłoby, gdybym jej nie dał rady. Głową panie, głową, tem tylko teraz można robić majątek, trzeba umieć korzystać ze stosownej pory.

Wtem wszedł Sitowski. Gracze powstali, nieznajomy wstał, spojrzał obojętnie i ledwo kiwnąwszy głową wyszedł do drugiego pokoju. Gospodarz troche zaambarasowany, jak mógł bawił Sitowskiego. Brudny służący w przestronnym sieraczkowym półfraczku, widać tylko czasami wdziewanym na pierwszego lepszego parobka dla parady, podał obydwom napakowane fajki, tak, że trzeba było piersi zerwać, by wciągnąć dymu. Wydrzycki prawił o złych czasach, o niezmiernej drożyźnie wszystkiego, a taniości produktów, uskarżał się na zuchwalstwo swych chłopów, którzy więcej nad pięć dni w tygodniu odrabiać nie chcą.

Sitowski już nie mógł wytrzymać, w własnym domu Wydrzyckiego, byłby go z błotem zmieszał, ale w tem wszedł Wacław. Na widok Sitowskiego cofnął się dwa kroki, jednak chcąc pokryć pomieszanie, zaczął rozmawiać, chodził szerokiemi krokami po pokoju, kręcił się jak pijawka posypana solą, aż gdy gospodarz wyszedł, Sitowski zapytał o przyczynę niezwykłego humoru.

— Ej nie to panie dobrodzieju! mam mały interesik, który mię troche niepokoi.

Sitowski nastał na niego o powiedzenie prawdy, on też ledwo zdecydował się przyznać, iż winien jest za konie, jak mówił, Wydrzyckiemu, a ponieważ spodziewane nie doszły go pieniądze, martwi

się, że słowa dotrzymać nie może. Na to Sitowski dobył pulares.

— Jeżeli mogę przysłużyć się panu, na dwa tygodnie pożyczę mu potrzebną sumę, po których upływie raczysz mi je zwrócić bez zawodu.

Wacław rzucił się na szyję Sitowskiemu, przyrzekł, dał słowo honoru i pobiegł z pieniędzmi za Wydrzyckim.

Pół roku upłynęło, gdy Sitowski z panem Wojciechem rozmawiali o Wacławie jak o umarłym, który już nigdy nie wróci. Ten bowiem złapawszy od Sitowskiego pieniądze i zapłaciwszy niemi dług najpilniejszy, znikł jak kamfora, i dotąd o nim nic nie słychać. *F. Wiesiołowski.*

Teatr.

Dnia 10 września przedstawiano dramat w czterech aktach tłomaczony z francuskiego Fryderyka *Sulié* pod nazwiskiem: Syn wariatki. Domyślamy sią teraz zkąd ta sztuka sławy nabyła. Nie budzi ona najmniejszej ciekawości. Treść jej jest zagmatwana i niepodobna do prawdy, a obrobienie ubogie i liche. Autor podjął się w niej obrony zasad niektórych, lecz czyni to tak nieszczerze, tak obojętnie i słabo, że wątpić przychodzi czy to są jego własne zasady; chętnie zatem bierzemy je za pańszczyznę. Tak właśnie jak w czasie prześladowań religijnych najzapaleńsi różnowiercy uciekali się do tej chytrości, iż ujmując się niby za zdaniami przeciwnemi ich przekonaniu, obalali je samą niedołężnością obrony, odsłaniając stronę najsłabszą. Wiadomo że dramat uczyć powinien równie jak rosprawy lub dyskusie. Zdarza się nieraz iż autor z przyczyn różnych, a często i pomimo wiedzy swojej, szkodliwe przyjąwszy zasady uczy nieprawdy, lecz jeżeli ma talent umniczy, umie ją tak prawdopodobną uczynić i tak powabnie wystawić, iż bardzo ostrożnego i zdatnego widza potrzeba ażeby nie wpadł w łapkę i unosił się tylko wyłącznie nad zręcznością i sztuką pisarza, ganiąc jego dążności. Dramat: Syn wariatki chociaż przepełniony wyobrażeniami starych dewotek, nie jest jednak niebezpiecznym bo autorowi lub brakło talentu lub niechciał go użyć tą razą. Dość powiedzieć, że nawet sama intryga pomimo całego zawikłania nudna jest i nienaturalna. Charaktery osób wszystkie chybione, albo raczej osoby niemają wcale charakterów: bo ci co się nienawidzą, kochają się; ci co sobie szkodzą, pomagają sobie, a to wszystko szczerze i z przewidzeniem następstw. Kochanka przekonana o niegodziwych zamiarach kochanka który ją chciał uwieść i zdradzał, najszczęśliwsza jest że idzie za niego. Matka pałająca zemstą przeciwko zabójcy męża swojego, nienawidząca go w czasie pomieszania, skoro przyszła do zmysłów oddaje synowi jego córkę swoją za żonę. Ze wszystkiego widać że rzeczywiście pomieszanie jeszcze nieustało, owszem udzieliło się szkodliwie wszystkim innym osobom i w całej sztuce panuje. *L. D-B.*

Nowości.

Na zbliżające się coraz dłuższe wieczory jesienne, możemy polecić miłośnikom pięknej literatury następujące nowe dzieło: Nowe obrazy litewskie I. Chodźki, w dwoch tomach, zawierające: Roczek przed ślubem; Autor swatem, i Brzegi Wilii. Pisarz ten zalecił się szczególniej plastycznością talentu w obrazach dawniejszych i, jak tuszymy, odsłoni nam tu nowe piękności.

Prócz bajek i wierszów różnych o którycheśmy już dawniej donieśli, wyszły z drukarni P. Pillera Miłostki poety tegoż samego pióra.

W Opolu na Szląsku wyszedł zbiór wierszy Józefa Lompy rodowitego szlązaka i zawiera prócz kilku originalnych polskich, tłomaczenia z Matisona i innych poetów niemieckich.

Skribe i Auber wystąpią tej zimy z nowem dziełem we trzech aktach mającem nadpis: Fantazia.

W najnowszym poszycie biblioteki warszawskiej znajduje się piękne tłomaczenie przez Edwarda Odyńca poematu Waltera Skota: Pieśń ostatniego minstrela.

W wycieczce do Berchtesgaden zaszły następujące mylki: str. 122, prze. 1, w. 32, Monnthal *pop.* Nonnthal; str. 123, prze. 1, w. 22, śniegami *pop.* smugami; str. 125, prze. 1, w. 3, lamy *pop.* tamy; w. 27, pożegnawszy *pop.* przeżegnawszy; w. 29, z zatok *pop.* z zatoki; prze. 2, w. 2, wiecznego *pop.* wierzchnego; str. 131, prze. 1, w. 43, szanownego *pop.* czarownego; prze. 2, w. 40, ciekawych *pop.* ciekących.

Uzyskawszy wydawca dziennika mód paryskich z rządu głównego cenzury petersburskiej dnia 7 października (19 paź.) 1840, pod liczbą 186, pozwolenie na przesyłanie dziennika swego w państwo rosijskie, uwiadamia niniejszem szanownych prenumeratorów iż otrzymał dnia 14 czerwca (26 czer.) 1841, także i ustanowienie ceny na przesyłkę pocztowę w obrębie tegoż państwa, to jest: 1 rubel śrebrny i 50 kopijek na rok cały. Prenumerata zaś na tenże dziennik do granicy wynosi:

7 rubli śrebr. i 25 kopijek na rok cały,
3 rubli „ 80 „ na pół roku.

Z rysunkami krojów, służących tylko dla majstrów sztuki krawieckiej:

8 rubli śrebr. i 50 kopijek na cały rok,
4 ruble „ 25 „ na pół roku.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI — DRUKIEM PIOTRA PILLERA.